

Porywający debiut!

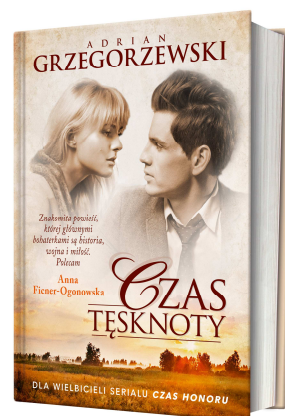
Wzruszająca opowieść o zakazanej miłości i ogromnej tęsknocie.

Dla wielbicieli serialu *Czas honoru*.

Adrian Grzegorzewski

Czas tęsknoty

Premiera: 20 marca 2014



Adrian Grzegorzewski mieszka i pracuje w Londynie. *Czas tęsknoty* to książka, która powstała z tęsknoty za Polską, fascynacji historią i rodzinnych opowieści.

Jest upalne **lato 1939** roku. Młody warszawiak Piotr Ochocki przyjeżdża do Bedryczan, małej wioski na Kresach, żeby poznać **rodzinne strony swojej matki**.

Ale nie będą to zwykłe beztrudne wakacje.

Znad obu granic **nadciąga widmo wojny** – nawet w malutkich Bedryczanach, gdzie wszyscy się znają, narasta **wrogość między sąsiadami**: Polakami i Ukraińcami. Piotr wie, że zapuszczanie się na ukraińską stronę wsi naraża go na wielkie niebezpieczeństwo.

A jednak to wszystko przestaje mieć znaczenie w dniu, kiedy po raz pierwszy spotyka piękną Ukrainkę Swietę. Już wie, że teraz nic nie będzie takie samo, wszelkie zakazy przestają się liczyć...

Ale co się wydarzy, kiedy rozdzieli ich wojna?

Czy czas tęsknoty się skończy?

Znakomita powieść, której głównymi bohaterkami są historia, wojna i miłość. Polecam.

Anna Ficner-Ogonowska, pisarka

Czas tęsknoty to wyjątkowe połączenie historii miłosnej i wojennego dramatu, które na pewno podbije serca czytelniczek. Takiego debiutu nie było już od dawna!

Aleksandra Kamińska, redaktorka książki *Czas tęsknoty*

*Książka *Czas tęsknoty* od początku wzbudziła w nas entuzjazm. Wojna, romans, emocje. Jestem przekonany, że czytelnicy będą zachwyceni.*

Piotr Knera, opiekun handlowy książki *Czas tęsknoty*

Adrian Grzegorzewski to niezwykły debiutant. Człowiek z pasją, który w tym szalonym świecie robi to, co kocha. I właśnie tę pasję widać w jego książce.

Małgorzata Ochab, promotorka książki *Czas tęsknoty*

Patronat:  **lubimyczytać.pl**
Twoja internetowa biblioteczka

E-book dostępny na
woblink.com

Sprawy, które nie mogą ulec zapomnieniu.

Wśród licznych książek inspirowanych faktami historycznymi z okresu II wojny światowej *Czas tęsknoty* jest pozycją wyjątkową. Jej autor, jako jeden z niewielu współczesnych pisarzy, opowiada o relacjach polsko-ukraińskich na Kresach w 1939 roku i mierzy się z opisem niewyobraźnego bestialstwa dokonanego podczas rzezi wołyńskiej. W ogniu wojny pojawia się nie tylko żar okrucieństwa, ale też wielkiej, zakazanej miłości. Dla Polaka Piotra i Ukrainki Swiety zakazy nie mają znaczenia. Gdy rozdzieliła ich wojna, nie zapominają o sobie nawet na chwilę. Ale tytułowa tęsknota to nie tylko tęsknota tych dwojga. O tym, o miłości do Kresów, o mordach dokonanych na Polakach przez UPA, o wojennych autorytetach czy o nostalgii za Polską podczas emigracji **opowiada Adrian Grzegorzewski, autor powieści.**

***Czas tęsknoty* to powieść o wojnie z wielką miłością w tle czy może o wielkiej miłości z wojną w tle?**

Napisanie książki planowałem od dawna. W głowie szczególnie tkwiła mi jedna scena, w której pojawia się warszawiak Piotr i jego dziewczyna Swietłana, Ukrainka. Tak mocno sobie ją wyobrażałem, aż w końcu postanowiłem, że tych dwoje zostanie głównymi bohaterami. Łatwo wymyślić, gorzej zrealizować. Długo zastanawiałem się, w jaki sposób połączyć te dwie osoby. Wymyśliłem więc, że spotkali się przed wojną podczas wakacji, które Piotr spędził w rodzinnej miejscowości swojej mamy. Wątek miłosny rozrósł się tak bardzo, że stał się szkieletem, na którym oparta została konstrukcja powieści. Jednak moje zamiłowanie do historii również musiało zostać zaspokojone, stąd dość duże bogactwo szczegółów historycznych i opisów wydarzeń związanych z wojną.

Pytam, bo opowieść o gorącym uczuciu Piotra i Swietłany jest tak wyrazista, że czasami może przyćmiewać to, co najważniejsze - wydarzenia II wojny, a co za tym idzie - cierpienie ludności cywilnej czy poświęcenie i honor żołnierzy...

Rzeczywiście. Miłość Piotra i Swiety ma pewien posmak bajkowości. Może sam fakt, iż prowadzę ich przez tak wiele zawirowań zupełnie obcych współczesnemu człowiekowi, nadaje jej charakter głębi oraz tego właśnie gorąca. Nie ma czasu na jej trywializację, na spowszednienie. Bohaterowie walczą o przeżycie, pielęgnując w sobie to, co pcha ich do przodu, czyli wzajemną miłość. Jednak myślę, że waga opisanych przeze mnie wydarzeń, czyli owo cierpienie narodu oraz honor polskiego żołnierza, sprawiają, iż nie da się ich tak

łatwo przyćmić. Historia, którą opowiadam, jest tak pełna bólu i okrucieństwa, że miłość przeplatająca się ze zgrozą wojennej rzeczywistości jest dla czytelnika nagrodą, takim światłem, ciepłem pozwalającym pamiętać, że są rzeczy, których nawet wojna nie przemoże.

Pana rodzice mieszkali na Kresach. Jak często opowiadali o czasach wojennych?

Gdy byłem dzieckiem, często rozmawiano przy mnie o Kresach. Ojciec wprawdzie urodził się w 1935 roku w Wilnie, ale od razu praktycznie trafił do sierocińca w Oszmianie na terenie dzisiejszej Białorusi. Był dzieckiem jakiegoś dobrze sytuowanego panicza i służącej. Klasyczny mezalians. Nie poznał nigdy swoich rodziców. Razem z kolegą Witkiem, który stał się jego przyrodnim bratem, trafił do nowej rodziny. Przybrana babcia pojechała do sierocińca po dziewczynkę, wróciła z dwoma chłopcami, którzy okazali się takimi urwisami, że Jacek i Placek to przy nich wzorowi ministranci. Głównym prowodyrem był zawsze mój ojciec, wujek Witek za to zbierał zwykle całą burę.

Ojciec chętnie wspominał czasy wojenne i te tuż po jej zakończeniu. Z sentymentem odnosił się do wydarzeń z przeszłości. Jego opowieści wydawały się tak nieprawdopodobne, że myśleliśmy zawsze, iż zwyczajnie kłamie (dopiero odpowiedziałny i poważny wujek Witek wszystko potwierdził). O tym, jak znalazł w lesie obóz radzieckiej bandy udającej partyzantów i terroryzującej okoliczne wsie, ojciec opowiedział wszystko dziadkowi, żołnierzowi AK, a ten zameldował dowódcy, który wydał rozkaz likwidacji bandy. O zabawach pociskami wrzucanymi do ognia. O kuchni zdemolowanej wybuchem granatu, który ojciec wrzucił do pieca.

O żołdatkach próbujących zgwałcić polską nauczycielkę w wagonie wiozącym rodzinę ojca na Ziemię Odzyskaną. Jednego z sowieckich żołnierzy zastrzelił ukrywający się w wagonie oficer AK, drugiego przybyły na miejsce oficer Armii Czerwonej. Tata wydrapał w swoim dowodzie osobistym „ZSRR” jako miejsce urodzenia i wpisał długopisem „Litwa”. Nigdy nie pogodził się z utratą przez Polskę Kresów i zawsze chciał pojechać do Wilna. Nie było mu to, niestety, dane.

Mama też dzieliła się przeżyciami?

Rodzina mojej mamy opuściła Małopolskę Wschodnią zdaje się w styczniu 1946 roku, gdy mama miała 4 lata. Nie miała więc zbyt wiele do powiedzenia na temat tamtego okresu. Wszystkiego o tamtym czasie dowiedziałem się od mojej ciotki Anieli, starszej o kilka lat siostry mamy. To jej opowieści pomogły mi opisać świat, w którym umieściłem Piotra i Świętę. Jednak i te przyszły dość późno, bo zaledwie kilka lat temu. Ciotka pamięta wszystko bardzo dobrze. Nocne ucieczki do lasu, aby schronić się przed bojówkami UPA, odmawianie przez dziadka „Ojczyzny” po ukraińsku, gdy chciał udowodnić napotkanym banderowcom, że również jest Ukraińcem, i podobne motywy, które umieściłem w powieści, a nawet zdanie wypowiedziane przez jednego z moich bohaterów, Jegora: „Za takiego papierosa zarżnąłbym dziesięciu Polaków”.

Pana matka pochodzi z Rychcic, wsi niedaleko Drohobycza, na których wzoruje Pan Bedryczany. Odwiedził Pan tę miejscowość i sam przyznał potem w książce, że poczuł ogromną więź. Kojarzy mi się to z przyjazdem Piotra do Bedryczan, wsi rodzinnej jego matki... Wątek autobiograficzny?

Na pewno tak. Nigdy nie zapomnę emocji, jakie towarzyszyły mi, gdy zobaczyłem przy drodze tabliczkę „Rychcicy”. Czułem się, jakbym trafił do jakiejś legendarnej krainy, o której tyle słyszałem. To tak, jakby historia zatoczyła koło. Trafiłem do miejsca, z którego moja rodzina wyruszyła na Zachód. Byłem tam, gdzie mama ze swoimi rodzicami chodziła do kościoła przez łąkę w środku wsi. Dotykałem statuy Chrystusa, która została postawiona jeszcze przed wojną, a która jest wierną kopią tej z Rio de Janeiro. Sowietci

urwali Jezusowi głowę materiałem wybuchowym i wrzucili ją na pobliski cmentarz. Teraz pomnik jest już naprawiony. Widziałem krzyż, który postawił jeszcze mój dziadek przed wojną, a który stał się wzorem dla opisanej przeze mnie kapliczki przed domem pani Marii. Wreszcie zobaczyłem miejsce, w którym kiedyś stał dom mamy. Już go nie ma, jednak drobiny wspomnień wciąż wirują tam w powietrzu. Podobnie jak Piotr powiedziałem sobie w duchu: „Mamo, wróciłem”. Tak jak on, ja też poczułem się w Rychcicach nie jak za granicą (w przypadku Piotra w obcej wiosce), ale jak u siebie. Jakbym wrócił z dalekiej podróży.

Tak chyba było łatwiej opisać swoje emocje. Bo to wtedy sprawia, że historia staje się autentyczna. Nie wymyśliłem tego, co czuł Piotr. On po prostu musiał reagować tak, jak zareagowałem na Rychcice ja.

W jaki jeszcze sposób czerpał Pan z własnych doświadczeń, pisząc książkę?

Chodzi Pani o wątek miłosny? (śmiech)

O takie szczegóły nie powinienam pytać, ale skoro sam Pan zaczął...

Każdy marzy o takiej miłości, jaką darzyli się Piotr i Święta, jednak muszę Panią rozczarować. Nie spotkałem żadnej dziewczyny w ukraińskiej cerkwi. A tak poważnie, to myślę, że gdy się jest debiutującym pisarzem jak ja, to korzystanie z własnych doświadczeń staje się odruchowe. Myślę, że główny bohater ma wiele moich cech. Jednak Piotr Ochocki to nie Adrian Grzegorzewski. Chłopak ma swoje życie, niezależne od mojego i niech tak pozostanie.

Właściwie dlaczego zmienił Pan nazwę miejscowości z Rychcic na Bedryczany?

Chciałem uniknąć sytuacji, w której ludzie związani z pamięcią o Rychcicach powiedzieliby: „Tyle rzeczy się nie zgadza, że może lepiej, żeby to się działo gdzie indziej”. Wprowadzając fikcyjną miejscowość, dałem sobie pole manewru w kreowaniu rzeczywistości i przycinaniu jej do swoich potrzeb. Niby wszyscy zainteresowani wiedzą, że chodzi o Rychcice, ale jednak to nie są do końca Rychcice.

Twierdzi Pan również, że opisane w powieści szczegóły dotyczące rzezi na Wołyniu nie są dokładnym odzwierciedleniem historii...

Postanowiłem, że wszystkie miejsca, w których dzieje się akcja na Wołyniu, będą fikcyjne. Nie wiedziałem, jak to rozegrać, żeby poprowadzić moich bohaterów przez ten trudny kawałek historii, a jednocześnie nie sprawić, żeby ludzie, którzy rozpoznaliby nazwy miejscowości i ściśle powiązane z nimi krwawe wydarzenia, nie mieli poczucia, że ktoś potraktował to instrumentalnie. Sposób, w jaki banderowcy bestialsko mordowali swoich polskich sąsiadów, był wspólny dla wszystkich tych miejsc. Czułem, że muszę być ostrożny i dlatego też złągodziłem opis wydarzeń.

W powieści nie brakuje też nazwisk rzeczywistych bohaterów wojennych, jak np. Stefana „Grota” Roweckiego. Dlaczego wybrał Pan takie, a nie inne postacie?

Ze względu na to, że zawsze szczerze ich podziwiałem. Rowecki był dowódcą wybitnym. Na mojej półce stoi jego podręcznik *Walki uliczne*. Umieszczając moich bohaterów w Wielkiej Brytanii, nie mogłem nie doprowadzić do ich spotkania z dowódcą legendarnej jednostki, elity elit, gen. Stanisławem Sosabowskim i jego 1 Samodzielną Brygadą Spadochronową. To właśnie jego podopieczni stali się wzorem dla przyszłych brytyjskich jednostek spadochronowych. Postać generała fascynuje mnie od dawna. Surowy dla swych żołnierzy, był dla nich jednocześnie jak ojciec. Mój Piotr nie mógł nie znać tych ludzi.

Mieszka Pan w Londynie. To może paradoksalne pytanie, ale jak pisało się na emigracji powieść, która traktuje przecież o miłości do Ojczyzny?

Moim zdaniem pobyt na emigracji wzmacnia nastroje patriotyczne. Słyszę czasem głosy o tym, że nie powinniśmy się wtrącać w sprawy kraju, bo z niego uciekliśmy. To bardzo niesprawiedliwa ocena. Wielu z nas nie miało po prostu wyjścia. „Zielona Wyspa” okazała się złudzeniem wymuszającym na nas – emigrantach – taki a nie inny dramatyczny krok. Widzimy pewne sprawy z dystansu. Dlatego właśnie, paradoksalnie, stosunkowo łatwo było mi pisać o miłości do Ojczyzny.

Tak tutaj mamy, że Polska zawsze będzie na pierwszym miejscu. Bo na co dzień nosimy ją w sercu, tęsknimy za nią i czujemy ból, kiedy po krótkim urlopie wracamy do Londynu.

Powieści historycznych, filmów czy seriali (choćby ostatnio bardzo popularny *Czas honoru*) dotyczących wydarzeń II wojny światowej jest na pęczki. Czym wyróżnia się *Czas tęsknoty*?

Sądzę, że jest to jedna z niewielu współczesnych powieści opowiadających o wojnie w trochę innym kontekście, niż słyszymy na co dzień. Nie przypominam sobie w tej chwili żadnego tytułu, który opowiadałby o tragicznych wydarzeniach na Wołyniu. Są *Łuny w Bieszczadach* pozostawiające wiele do życzenia, jeśli chodzi o przedstawienie polskiego podziemia niepodległościowego. Są *Ślady rysich pazurów* odnoszące się znów do wydarzeń powojennych w Bieszczadach, jednak o Wołyniu nie czytałem nic z gatunku powieści. To wołanie przede wszystkim o to, żeby te sprawy nigdy nie uległy zapomnieniu. Życzyłbym sobie, aby ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o tej historii, albo słyszeli niewiele, zechcieli sięgnąć głębiej, posłuchać prawdziwych opowieści, przeczytać, jak to było naprawdę. Chodzi mi szczególnie o młodych ludzi, bo to o ich pamięć toczy się walka. *Czas tęsknoty* opowiada o czasach, w których polskość Kresów była niekwestionowana w świadomości Polaków. To się, niestety, zmienia. Jednak tam wciąż żyje ponad milion naszych rodaków. Oni czekają na nasze wsparcie. Odpowiedzią na te oczekiwania są akcje typu „Paczka dla Kresowiaka” organizowane przez różne środowiska skupiające przede wszystkim młodych ludzi, kibiców, harcerzy. To jest piękne.

Tytułowa tęsknota zatem to tęsknota za „polskimi Kresami”?

Za wszystkim po trochu. Mam nadzieję, że każdy, kto przeczyta moją powieść, znajdzie w niej coś, co poruszy w nim tę delikatną strunę, jakąś nitkę emocji. Coś, co zidentyfikuje jako własną tęsknotę. Może to być piękna opowieść o miłości. Może o tym, z czego możemy, jako Polacy, być dumni. Może mój Czytelnik poczuje współczucie dla tych ludzi, którym nie udało się uciec z piekła wojny. Każdemu według potrzeb.



Adrian Grzegorzewski urodził się w Żarowie, małym mieście na Dolnym Śląsku, 8 lutego 1975 roku. Jego rodzice pochodzili z Kresów i miłość do tych rejonów zaszczepili synowi. Ojciec urodził się w Wilnie, mama w Rychcicach pod Drohobyczem. Właśnie ta wioska jest pierwowzorem Bedryczan, miejscowości, w której toczy się akcja powieści *Czas tęsknoty*.

Adrian Grzegorzewski już w dzieciństwie fascynował się literaturą i historią, a tematyka Powstania Warszawskiego stała się jego największą pasją. Jak każdy, w pewnym momencie musiał zmierzyć się z prozą życia. Przerwał studia i podjął pracę

zawodową. W 2002 roku wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka do dziś i pracuje jako listonosz w Royal Mail.

Dwa lata temu rozpoczął pracę nad powieścią historyczną, a raczej powieścią historical fiction. Pierwotnie jego zamiarem było pokazanie sytuacji, jaka miałyby miejsce, gdyby Powstanie Warszawskie nie wybuchło. Jednak gdy zaczął pisać, szybko okazało się, że pierwotny zamysł uległ zmianie i powstała pierwsza część cyklu opisującego dzieje dwojga młodych ludzi: Polaka z Warszawy, odkrywającego swoje kresowe korzenie, i Ukrainki, córki wysokiego rangą lokalnego działacza Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Adrian Grzegorzewski interesuje się też polityką, lubi literaturę spod znaku political fiction, uwielbia Tolkiena, a na jego półce można znaleźć całą gamę książek historycznych. Uwielbia muzykę. Czasem strzela. Mówi, że gdyby był młodszy, z pewnością trafiłby do wojska.

Z pasją prowadzi bloga:

www.grzegorzewski.weebly.com

Fragmenty powieści *CZAS TĘSKNOTY*

Te wakacje miały być sentymentalną podróżą w przeszłość. Piotr Ochocki od dawna miał w planach wyjazd na południe kraju. Strony, z których pochodziła jego matka, odwiedził tylko raz, gdy miał siedem lat. Z wyjazdu pamiętał jedynie ukwieconą łąkę, nogi moczone w strumieniu i smak kradzionych u sąsiada czereśni. Gdy matka zmarła niedługo potem, ojciec nie chciał się zgodzić na wyjazd do Bedryczan. Na początku Piotr tego nie rozumiał. Jednak widząc, z jakim uczuciem pielęgnował wspomnienia o żonie, pojął, że dla ojca taki wyjazd to wysiłek uczuciowo niemożliwy. Pękłoby mu chyba serce z żalu. Piotr za całą rodzinę w Bedryczanach miał przyjaciółkę matki, panią Marię. Gdy jedynaczka, panna Judyta Kowalewska, została panią Judytą Ochocką i wyjechała z mężem do Warszawy, kontakt między przyjaciółkami nieco się rozluźnił, ale dalej pisały do siebie dość regularnie. Po śmierci dziadków Piotra Ochockiego sprzedali odziedziczone dom i gospodarkę i na dobre rozstali się z Kresami. Jednak to sam ojciec wiosną zaproponował Piotrowi, gdy ten kolejny raz próbował namówić go na wakacje na wsi, że napisze do pani Kosieckiej z prośbą o gościnę dla syna. Odpowiedni list wyruszył w kierunku Bedryczan, a odpowiedź, zawierająca magiczne słowa „zapraszam serdecznie Was obu”, przywędrowała tydzień później.

Starszy Ochocki nie zdecydował się jednak na podróż. Za to syn nie mógł się doczekać wyjazdu. Jeszcze tylko zaliczenie pierwszego roku na Uniwersytecie Warszawskim na kierunku architektura i żak Piotr dziarsko przemierzał na piechotę siedem kilometrów, dzielących stację kolejową w Drohobyczu od domu pani Marii.

Wszystko tutaj było inne niż to, co znał z wycieczek poza miasto. Niby takie same drzewa, niby podobne do mazowieckich pola złocące się łanami zbóż i niby droga jak każda inna wiodła pomiędzy nimi, a jednak Piotr miał wrażenie, że tutaj jest się jakby „bardziej”, „głębiej”.

Wciągnął haust powietrza. Przesycone zapachem ziół, rozedrgane od gorąca, upajało zmysły. Intensywniej niż w domu. Jakby malarz zamiast „mazowieckich” akwareli użył do stworzenia tego krajobrazu mocniejszych, olejnych farb. A może tylko się tak Piotrowi wydawało? Może to emocje towarzyszące przygotowaniom do wyprawy i sama podróż spowodowały, że chłonał otaczający go świat z pasją małego dziecka, które widzi rzeczy po raz pierwszy? Może to tak jak z tym chlebem, który zawsze bardziej będzie smakował głodnemu niż sytemu, choć kupiony w tej samej piekarni?

Dziś Polska, ta magiczna piekarnia, odślaniała przed nim swą kolejną tajemnicę, wypiek pod nazwą „Kresy”. Z niewysokiego wzgórze, na którym droga skręcała lekko w prawo, roztaczał się widok na Bedryczany. Piotr przystanął na chwilę. Ściągnął plecak i popatrzył przed siebie. Chłonał każdy szczegół tego miejsca: od zieleni drzew po błękit nieba. Przypatrywał się chwilę małym postaciom pracującym w polu na obrzeżach wsi, chatom, z tej odległości niewielkim, wieży kościelnej i leżącej bliżej niego kopule cerkwi, po czym szepnął: „Mamo, wróciłem”.

– Gdzie on jest?! Mamo! Gdzie?! – Marta wpadła do domu niczym huragan.

– Uspokój się, dziewczyno – rzekła pani Maria udawanym srogim tonem, ale po chwili na widok szarpiającej ją za rękaw bluzki podekscytowanej córki, powtarzającej niczym katarynka: „Gdzie? Gdzie?”, wybuchnęła śmiechem.

– Zaraz przyjdzie na kolację, na razie rozpakowuje się w gościnnym pokoju – odpowiedziała i spojrzała na Martę podejrzliwie.

– A gdzie się włóczyłaś do tej pory, pannico? Ciemno już, a ty ganiasz gdzieś po wsi.

– Oj, mamo. – Dziewczyna zrobiła minę w stylu „nie truj, proszę”.

– Wakacje mam przecież. Nie będę siedziała w domu. Poza tym, jakie tam ciemno? Jeszcze kury łązą po podwórku – odpowiedziała.

Wbiła zęby w porwane ze stołu jabłko, obróciła się na pięcie, wybiegła z kuchni i rzuciła z pełnymi ustami: – Przyhde na kohaczie.

– Co? – Matka nie zrozumiała bełkotu, ale machnęła ręką. – Skaranie boskie z tą dziewczuchą.

Uśmiechnęła się pod nosem i wróciła do przygotowywania kolacji. Kiedy nakrywała do stołu, w jadalni pojawił się Piotr. Odświeżony, w czystej koszuli wyglądał jeszcze przystojniej niż w chwili, gdy zobaczyła go wchodzącego na ganek jej domu. Wysoki ciemny blondyn o szczupłej sylwetce w niczym nie przypominał siedmiolatka, którego poznała kilkanaście lat temu. Uśmiechnęła się.

– Jest pan taki podobny do matki. Ma pan jej oczy i brwi.

– Pani Mario – chrząknął Piotr z zakłopotaniem. – Jaki tam ze mnie pan. Na pana to trzeba wygląd mieć. I pieniądze. A u mnie ani tego, ani tamtego.

– Pieniądze są, a potem ich nie ma, i tak w kółko. A na wygląd niech pan nie narzeka. – Gospodyni podała chłopakowi talerz z kiełbasą. – Bo brzucha nie ciągnie pan po ziemi ani garba też nie ma. Nie jest tak źle – żartowała dalej.

– Piotr, a nie pan, proszę – odpowiedział z udawaną powagą. – Poza tym jesteśmy prawie rodziną. W końcu moja mama była pani przyjaciółką.

– To prawda – pani Maria westchnęła smutno. – Brakuje mi jej bardzo. Zresztą zawsze mi jej brakowało. Gdy wyjeżdżała do Warszawy, powiedziałam pańskiemu... twojemu ojcu – poprawiła się z uśmiechem – że jest złodziejem, bo skradł mi najważniejszą osobę po rodzicach. Ech, płakałam za Judytką długo. Teraz też czasem płaczę...

(.....)

Lato na wsi różni się znacznie od tego spędzanego w mieście. Czas nie nabiera tu szalonej prędkości niczym pędzący Alejami Jerozolimskimi policyjny samochód. Wręcz przeciwnie. Upalne sierpniowe słońce zamieniało powietrze w gęstą galaretę, w której ciężko było oddychać, nie wspominając już o poruszaniu. Nawet krowy na łące szukały cienia, redukując swe czynności życiowe do leniwego mielenia pyskiem. Jednak powszechnie panująca w mieście opinia, że chłop śpi, a w polu samo mu rośnie, daleka była od prawdy. Od rana do nocy okoliczne pola wypełniały się żeńcami. Żniwa rozpoczęły się na dobre. Od czasu do czasu można było usłyszeć metaliczny zgrzyt, kiedy trzymana wprawną dłonią osełka przywracała kosom i sierpom ich ostrość. Bedryczany zamieniały złote łąny w ściernisko dłońmi swoich mieszkańców. Na te kilkanaście dni ludzie zapominali o wzajemnej niechęci i waśniach. Nie było na nie czasu. Zmęczeni pracą mężczyźni tylko wypatrywali około południa żon taszczących z domu garnki pełne jedzenia, a wieczorem schodzili z pól na wpol żywi. Nie tylko spichlerze wypełniały się zebrany plonem. Leśna kryjówka Jegora i jego ludzi wzbogaciła swój asortyment o kolejne dwa karabiny typu

Mauser. Operacja, przygotowywana w ukryciu od dawna, nabierała wreszcie kształtów. Niesnaski pomiędzy Ukraińcami a ich polskimi sąsiadami zaostrzały się coraz bardziej. Rozbudzona świadomość narodowa podsycana ideologią Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów powoli stawała się glebą, na której wyrosnąć miał niebawem owoc, niepodległe państwo ukraińskie. W ich wizjach nie było w nim miejsca dla tych, którzy nie byli rdzennymi Ukraińcami. Przygotowywana od dawna akcja miała na celu wysiedlenie albo zmuszenie do ucieczki głównie Polaków, którzy mogliby być zagrożeniem dla integralności mającego się narodzić państwa. Choć oficjalnie głównym wrogiem nadal pozostawał Związek Radziecki, to Polacy byli tak naprawdę pierwszym elementem, który miał zostać usunięty z ukraińskiej układanki. Swoje trzy grosze wtrącili również Niemcy. Hitlerowski wywiad wspomagał ukraińskich nacjonalistów w nadziei na to, że w razie wojny z Polską staną się siłą zdolną do wszczęcia antypolskiego powstania. Zredukowałyby to Wojsko Polskie na Kresach do roli strażaka gaszącego własne podwórko. Ukraińcy mieli rozbijać polskie patrole i siać terror na tyle skuteczny, żeby ludność cywilna bała się nawet wspomagać swoich żołnierzy. Do tego potrzebna była broń. Część przetrucano ze Słowacji przez zieloną granicę. Trochę udawało się zdobyć na miejscu, choć przypadki kradzieży czy rozbijania policjantów powodowały natychmiast ostre reakcje władz. Ograniczano więc tego typu akcje do minimum. Ounowcy czekali. Byli gotowi. Teraz wszystko pozostawało tylko w rękach Hitlera.

Zapraszamy do recenzowania i przygotowania materiałów redakcyjnych oraz przedruków.

Istnieje możliwość kontaktu z autorem.

Dziennikarzy zainteresowanych wywiadem proszę o kontakt w celu ustalenia szczegółów.

Wszelkich informacji o książce udziela:

Małgorzata Ochab
Biuro Prasowe MIĘDZY SŁOWAMI
tel. (12) 61 99 552
e-mail:
ochab@znak.com.pl
promocja@miedzy.slowami.pl